

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 6 (4/2013) – październik/grudzień 2013

ISSN 2299-5692

copyright © eleWator, Szczecin 2013

redagują:

Marcin Bałczewski (komiks), Paweł Nowakowski (proza, sekretarz redakcji),
Paweł Orzeł (film), Arkadiusz Polewka (sztuki plastyczne i architektura),
Karol Samsel (eseje i szkice), Kamil Sipowicz (muzyka),
Artur Szlosarek (krytyka literacka), Konrad Wojtyła (poezja, redaktor naczelny)

stali współpracownicy:

Edward Balcerzan (Poznań), Leś Belej (Kijów), Jakub Bińkowski (Londyn),
Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz), Anna Frajlich (Nowy Jork),
Krzysztof Hoffmann (Poznań), Artur Daniel Liskowacki (Szczecin),
Krzysztof Niewrzęda (Berlin), Monika Petryczko (Szczecin),
Małgorzata Południak (Dublin), Leszek Szaruga (Warszawa),
Andrzej Wasilewski (Paryż), Grzegorz Wróblewski (Kopenhaga)

korekta: Anna Borowicka i Anna Nowakowska

obrazy na okładce: Donat Stenzel

grafiki i obrazy w numerze: Tomasz Bohajedyn

zdjęcie na 224 stronie: Andrzej Łazowski (www.lazowski.eu)

redakcja i wydawca:

Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy
71-246 Szczecin, ul. Eugeniusza Romera 10e

tel. 605 631 746

www.elewator.org / pnowakowski@elewator.org

www.fundacja-berezy.org / biuro@fundacja-berezy.org

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja ukazała się dzięki wsparciu Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania
dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

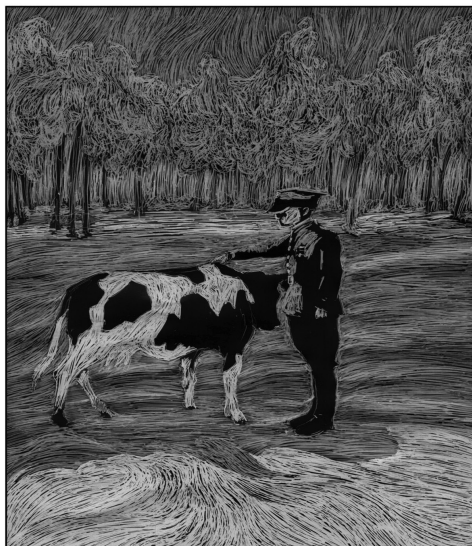


Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



wojna	5	Bogusława Latawiec, Świt
	6	Konrad Zych, Nowoczesna – czyli jaka?
	11	Marta Zabłocka, Wojna łaśliła się do naszych stóp
	18	Małgorzata Szlachetka, Lubelskie getto na fotografii
	22	Ewa Elżbieta Nowakowska, Deficyt
	25	Tadeusz Zubiński, Wojny po wojnach
	34	Amira Bochenska, Cienie Złotego Świtu
	39	Łukasz Suskiewicz, Rondo
	44	Anna Wagner-Juszkiewicz, Wojna płci
	50	Maja Staśko, Człowiek człowiekowi walką
	58	Karol Samsel, Birnam Wood, Postrzyżyny, Lasso
	61	Konrad Zych, Wojna, mit i powtórzenie. Na marginesie reportażu wojennych Juliusza Kadena-Bandrowskiego
	67	Marta Zabłocka, Kupon na zakład o własne życie
	71	Krzysztof Lichtblau, Reprezentacja Zagłady w polskim komiksie (zarys problematyki)
	76	Krzysztof Niewręda, Confinium (fragment)
	84	Agata Jankowska, Empatyczna wyobraźnia
	90	Andrzej Skrendo, Wojna, Holocaust i takie tam rzeczy. Józef Maria Ruszar o Tadeuszu Różewiczu
	92	Marek Osajda, Nóż baranek
	95	Zbigniew Jahnz, *** (Po wewnętrznej ścianie hełmu...)
	96	Leszek Dembek, Żelazna piramida, Powrót
	98	Damian Romaniak, W cieniu wojny. Czekać na najnowszą trylogię „Star Wars”
	103	Małgorzata Wadżet Gardasiewicz, Wojna w gwiazdach
	108	Wojciech Stamm, Jeszcze Polska nie zginęła
	110	Marcin Bałczewski, Nie wszyscy pójdziemy do gazu (część 4 z 3)
	112	Paweł Orzeł, „731” w psychodelicznej maszynie
	118	Krzysztof Ćwikliński, Pułkownik Polak
poezja	135	Krystyna Dąbrowska, Kalendarz, Insecurity questions, Bębniarze w parku
	138	Adam Wiedemann, Ruch
epistoły	139	Henryk Bereza, Listy do poetów: do Adama Wiedemanna
teatr	145	Paweł Głowacki, Czekać. Czekać w Nicei
z Londynu	148	Noil Branc, Błąd von Neumanna
sztuki plastyczne i architektura	152	Arkadiusz Polewka, Trafo-Genesis
	156	Piotr Wildanger, Hiszpańska wojna domowa w czterech obrazach

krytyka literacka	160	Tomasz Kunz, Bałwochwalstwo poezji (Tadeusz Dąbrowski, <i>Pomiędzy</i>)
	163	Marcin Jaworski, To i owo (Andrzej Skrendo, <i>Falowanie nowoczesności. Szkice krytyczne</i>)
	166	Konrad Liskowacki, Wojna i los (Antony Beevor, <i>Druga wojna światowa</i>)
	169	Paweł Orzeł, Był sobie Perec (Georges Perec, <i>Pamiętam że, Urodziłem się. Eseje</i>)
	171	Justyna Kasperek, Świat odczarowany (Krzysztof Jaworski, <i>Do szpiku kości</i>)
	173	Jakub Momro, Lamentacje (Roland Barthes, <i>Dziennik żałobny</i>)
	176	Maciej Orłowski, Przywołując kiedyś, oswajamy obce (Bogusława Latawiec, <i>Ciemnia</i>)
	178	Marek Olszewski, W którymkolwiek miejscu (Ewa Elżbieta Nowakowska, <i>Trzy ołówki</i>)
	181	Alan Sasinowski, Chłopaki wygrały (Martin Amis, <i>Cieżarna wdowa</i>)
	183	Monika Glosowicz, Poezja i postpamięć (Konrad Wojtyła, <i>Czarny wodewil</i>)
	184	Justyna Kasperek, Pola ostrości (Marcin Senddecki, <i>Błam, 1985-2011</i>)
	186	Maja Staško, Kopista Turczyński (Andrzej Turczyński, <i>Żywioły</i>)
	188	Paweł Orzeł, Przed wojną: Dawno, dawno temu w Mezopotamii (Remigjusz Kwiatkowski, <i>Literatura babilońsko-assyryjska</i>)
	191	Jacek Dziubiński, Czytane po latach: Nigdy nie dyskutuj z zagranicznymi konsultantami (Michaił Bułhakow, <i>Mistrz i Małgorzata</i>)
	194	Halina Lizińczyk, Ostatnie czytanie: O żołnierzu, który nie zabija
	196	nadesłano
komiks	198	Marcin Bałczewski, Natura człowieka według Presla (Nicolas Presl, <i>Fabryka, Boska kolonia</i>)
muzyka	199	Tadeusz Hnat, Przed Państwem Najwięksi Artyści Świata! (MI-MEO, <i>Wigry</i>)
	203	Odkryłem ciszę... Ze skrzypkiem Adamem Bałdychem rozmawia Beata Zuzanna Borawska
stałe felietony	209	„nie w rzędzie” – Krzysztof Niewrzęda
	212	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, W Krakowie każdy jest poetą lub kolegą poety
	214	„w swoim tempie” – Krzysztof Hoffmann, Szósta w nocy, osiemnasta nad ranem
	216	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Konsekwencje sztuki i masowość
	218	„bez przesady” – Edward Balcerzan, Fanaberie wytypowanego
	221	Konkurs Literacki imienia Henryka Berezy „Czytane w maszynopisie”, Edycja 2, 2014 – regulamin
	222	Konkurs Literacki imienia Henryka Berezy „Czytane w maszynopisie”, Edycja 1, 2013 – rozstrzygnięcie



Bogusława Latawiec

Świt

Widuję ich nocą
na dzikiej łasze piachu
Ustawieni jak do zdjęć
patrzą mi w oczy
Bywa że są w koboldzie
albo w nagłej czerni
naszkicowani tuszem po powietrzu
Zatrzymani w połowie gestu – Witaj nam!
Z głosem bez głosu
który jest jak zdanie
ukryte za zagiętym rogiem stronicy
do przemyślenia na przyszłość

Wiem czai się tam jedynie papierowa pustka
która niczego poza własną bielą
już nie rozjaśni

I wiem – to czas się tak zapętla wokół mnie
zawraca, okrąża, sunie po snach
po pamięci
jak po ślepej śnieżycy

Ale wciąż jeszcze tylko do świtu
kiedy w ogień kwiatów
wlatują bezszelestnie, nie płonąc
cztery nasze bojowe admirały
motyle rudo-czerwone
z błękitem na skrzydłach podróżnych

Wkrótce poszybują w morskim wietrze
za uciekającym słońcem

Bogusława Latawiec – poetka, prozaiczka, eseistka. Redaktorka miesięcznika „Nurt” (1974-1982), naczelna redaktorka miesięcznika kulturalnego „Arkusz” (1991-2003). Mieszka w Poznaniu. Laureatka wielu nagród literackich, m.in. Nagrody im. Tadeusza Peipera (1970), Nagrody PEN Clubu za całokształt twórczości poetyckiej (1993), Nagrody im. Józefa Łukaszewicza (2004). Nominowana do Nagrody Cogito (2008). Wydała m.in. zbiory opowiadań: *Solarium* (1969), *Pusta szkoła* (1987); powieści: *Nie widziałam tak długiej chorągwi* (1965), *Ogród rozkoszy ziemskich* (1976), *Ciemnia* (1989, 1995, 2012), *Kochana Maryniuchna* (2003); zbiory esejów: *Gęstwina* (2001), *Zegary nie do zatrzymania. Literackie portrety, listy, szkice* (2012) oraz tomy wierszy: *Otwierają się rzeki* (1965), *Cale drzewo zdania* (1970), *Przestrzenie* (1975), *Z żywych jeszcze źrenic* (1981), *Powidok. Wiersze z lat 1980-1991* (1992), *Bogusławy Latawiec nigdy całości* (1995), *Razem tu koncertujemy* (1999), *Odkrytki* (2007), *Gdyby czas był ziemią* (2011).

Konrad Zych

Nowoczesna – czyli jaka?

1.

Pierwsza, Wielka, totalna, materiałowa, maszynowa – szereg określeń używanych do opisu wojny z lat 1914-1918 pokazuje, że tak w świadomości uczestników, jak i badaczy jawiła się ona (i jawi do tej pory) jako wydarzenie bez precedensu w historii świata. Przede wszystkim jednak, a stwierdzenie to powoli urasta do rangi truizmu, była to wojna nowoczesna. Jako „skorelowana (...) ściśle z tempem przemian technologiczno-cywilizacyjnych i zmianami świadomości społecznej”¹ doskonale wpisywała się – jak zauważa Maria Jolanta Olszewska (idąc w tym miejscu tropem autorów, takich jak Modris Eksteins, Martin Gilbert czy Jerzy Święch) – „w przestrzeń globalnej modernizacji, dotyczącej praktycznie wszelkich sfer życia, w tym również literatury, także polskiej”². To właśnie wspomniana przez autorkę *Człowieka w świecie Wielkiej Wojny* modernizacja przyczyniła się do zakwestionowania wartości stanowiących dotychczas aksjologiczne centrum, podważyła również istniejące sposoby mówienia o wojnie, odsłaniając ich nieadekwatność wobec obserwowanej na bieżąco rzeczywistości. Odwołując się do znakomitego studium Jerzego Święcha pt. *Wojna a „projekt nowoczesności”*, można wręcz powiedzieć, że kluczowe dla zrozumienia nowoczesnego dyskursu o wojnie było właśnie odrzucenie dotychczasowego „balastu wyobrażeń o wojnie dawnego typu”³. Tu jednak pojawia się zasadnicza wątpliwość: czym jest owa „wojna dawnego typu”?

Tego większość autorów piszących o I wojnie światowej nie precyzuje. Na podstawie ich ustaleń, jak i świadectw samych uczestników można jednak pokusić się o zrekonstruowanie jej konstytutywnych cech. „Dawna” wojna charakteryzuje się w tym ujęciu wyobrażeniem konfliktu jako pojedynku, agonu, szlachetnej rywalizacji o pewne wyższe cele (tzn. nieograniczające się do korzyści ekonomicznych czy zdobycia i utwierdzenia władzy nad pewnym terytorium), wreszcie – ma swój wymiar ludyczny: jest grą, prowadzoną według jasno określonych reguł. Jest to wreszcie wojna sprawiedliwa, święta (jako taka wpisuje się w odwieczną walkę dobra ze złem), a równocześnie – malownicza męska przygoda, życiowy hazard. Kluczowy dla tego dyskursu wydaje się również, zakwestionowany w toku I wojny światowej, podział przestrzeni na sferę „żołnierską” i „cywilną”, *teatrum belli* i jego wstydliwie ukrywane (bo nieheroiczne) kulisy. Ramy chronologiczne tak opisaney wojny z reguły nie zostają określone. Można przeto przyjąć, że chodzi o wszystkie poprzedzające wojnę z lat 1914-1918 konflikty zbrojne (co dodatkowo podkreślałoby jej odczuwaną powszechnie bezprecedensowość)⁴ lub – co bardziej prawdopodobne – swoiste wyobrażenie wojny, pewien „typ idealny” oderwany od swoich

¹ M.J. Olszewska, *Człowiek w świecie Wielkiej Wojny. Literatura polska z lat 1914-1919 wobec I wojny światowej. Wybrane zagadnienia*, Warszawa 2004, s. 9.

² Tamże.

³ J. Święch, *Wojna a „projekt nowoczesności”*, w: *Modernistyczne źródła Dwudziestowieczności*, redakcja M. Dąbrowski i A.Z. Makowiecki, Warszawa 2003, s. 9.

⁴ Zob. m.in. tamże, ss. 9-34; M.J. Olszewska, dzieło cytowane, ss. 9-40; D. Kielak, *Wielka Wojna i świadomość przelomu. Literatura polska lat 1914-1918*, Warszawa 2001, ss. 7-12. Por. też np. teksty zgromadzone w tomie: *Literatura wobec I wojny światowej*, redakcja M.J. Olszewska, J. Zacharska, Warszawa 2000.

jednostkowych realizacji. W ten sposób przedstawia to m.in. Olszewska, która w monumentalnej monografii *Człowiek w świecie Wielkiej Wojny* stwierdza:

W obliczu wojny, będącej wytworem modernizmu: „rzezi”, „wojny maszyn”, grobów masowych, „nieznanych żołnierzy”, ohydy okopów i szpitali, wszy, zagłady i martyrologii ludności cywilnej oraz „gier” gabinetowych i dyplomatycznych, doszło do dekonstrukcji idealistycznych wyobrażeń o wojnie szlachetnej, sankcjonowanej przez odwieczną tradycję, wpisaną w przestrzeń dawnej kultury, fundowanej na podłożu śródziemnomorskim i judeochrześcijańskim⁵.

Taka perspektywa, wyraźnie przeciwstawiająca „wojnę nowoczesną” zmitologizowanej „dawnej wojnie”, choć znajduje liczne potwierdzenia w relacjach samych uczestników i obserwatorów z „epoki”⁶, jest jednak nieco upraszczająca – ujmując bowiem wojnę „dawnego typu” w sposób ahistoryczny, jako jeden, wewnętrznie niezróżnicowany fenomen. „Odwieczna tradycja” sankcjonująca opisane przez badaczkę wyobrażenia o „wojnie szlachetnej” okazuje się bowiem tradycją wynalezioną (w rozumieniu zaproponowanym przez Erica Hobsbawma)⁷ i – wbrew pozorom – wcale nie tak dawną.

2.

Wymienione powyżej cechy wojny „dawnego typu” pozwalają przypuszczać, że za tym określeniem kryje się przede wszystkim tzw. wojna formalna. Dyskurs wojny formalnej z właściwymi mu wyobrażeniami wojny jako pojedynku, szlachetnej rywalizacji, agonu, ludycznej zabawy, wreszcie – przestrzenną metaforą *teatrum belli* nie łączy się jednak, jak sugerują to niektóre ujęcia, z ideą wojny sprawiedliwej⁸. Ciekawie i wyczerpująco pisze na ten temat Maria Zadencka⁹. Tego typu wizja konfliktu wiąże się jej zdaniem z projektem „cywilizowania wojny”, podjętym w XVII i XVIII-wiecznym dyskursie filozoficzno-prawnym w celu ograniczenia wyniszczających zachód Europy „prywatnych wojen feudalnych władców”¹⁰, wojen religijnych, domowych i konfesyjnych. Proces ten był wynikiem głębiej sięgających przeobrażeń, związanych z oteologizowaniem refleksji na temat wojny, zmniejszeniem wpływu Kościoła na sferę publiczną oraz powstaniem homogenicznych państw terytorialnych „z centralnym ośrodkiem władzy, administracją i z dokładnie określonymi granicami”¹¹. Od tej pory wojna była wyłącznie konfliktem między suwerennymi jednostkami państwowymi, toczonym w ich granicach lub o te granice – nie zaś jak dotychczas rozgrywającą się wszędzie wojną „wszystkich ze wszystkimi”. Inną ważną konsekwencją takiego stanu rzeczy był fakt, że „tylko państwo mogło wypowiedzieć wojnę”¹². Z tego powodu pojęcie „wojny totalnej” wydaje się odpowiednie raczej dla poprzedzających nadejście epoki nowożytnej wojen feudalnych i „świętych”, poszukujących legitymizacji w woli Boga, prawie

⁵ M.J. Olszewska, dzieło cytowane, s. 13.

⁶ Szczegółowo rekonstruuje je Maria Olszewska. Tamże, ss. 11-17.

⁷ Zob. E. Hobsbawm, *Wprowadzenie. Wynajdywanie tradycji*, w: *Tradycja wynaleziona*, redakcja E. Hobsbawm i T. Ranger, Kraków 2008, ss. 9-22.

⁸ Wydaje się, że na powstanie takiego wyobrażenia o wojnie „dawnego typu” mogło wpłynąć nałożenie na dyskurs wojny formalnej romantycznych wyobrażeń wojny, zapowiadających niejako nowy porządek polityczno-prawny. W tej perspektywie niemal cały wiek XIX jawi się jako czas ścierania się dwóch zasad politycznych i legitymizujących je dyskursów: monarchii dynastycznej (zakonserwowanej na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku) i państwa narodowego wraz z odpowiadającą mu ideologią nacjonalistyczną.

⁹ Zob. M. Zadencka, *Obrazy suwerenności. O wyobraźni politycznej w literaturze polskiej XIX i XX wieku*, Warszawa 2007, ss. 121-137.

¹⁰ Tamże, s. 124.

¹¹ Tamże, ss. 124-125.

¹² Tamże, s. 125.

naturalnym czy innej zasadzie fundamentalnej. Wojna nowoczesna, choć wykazuje z nimi wiele punktów stycznych, powinna być określona jako „permanentna” bądź „rewolucyjna”¹³, względnie – jako wojna totalna nowego typu. Odwołując się w jej charakterystyce do Foucaultowskiej koncepcji dyskursu polityczno-historycznego, autorka zauważa (na marginesie analizy powieści Józefa Mackiewicza), że „w przebiegu XX wieku wojny tracą stopniowo charakter zbrojnego konfliktu opartego na liniach granic i liniach frontu i stają się unicestwiającą wojną totalną, która charakter swój zapożyczyła od rewolucji z jej wizją wroga i ostatecznego zwycięstwa”¹⁴ (co wyrażało się m.in. w powszechnej w ówczesnej propagandzie strategii kryminalizacji przeciwnika)¹⁵.

3.

Opisany przez Zadencką proces ograniczenia wojny, którego skutkiem było wytworzenie filozoficzno-prawnego dyskursu wojny formalnej wraz z towarzyszącą mu ideą suwerenności nie służył jednak wyłącznie powstrzymaniu wyniszczających kontynent wojen religijnych. Jego podstawową funkcją było, jak się wydaje, umocnienie władzy książąt w państwach dynastycznych. Podmiotem tak rozumianego dyskursu wojny były – wspomniane już – „homogeniczne państwa terytorialne, z centralnym ośrodkiem władzy, administracją i z dokładnie określonymi granicami”¹⁶. Przejście od dyskursu wojny formalnej do dyskursu nowoczesnej wojny totalnej (którą będę określał w ten sposób dla odróżnienia od wojen totalnych dawnego typu) odpowiadało dokonującej się zmianie wyobraźni polityczno-prawnej. Przy czym źródła tej zmiany tkwiły w samym dyskursie o suwerennym państwie, dokładniej – w sformułowanej w połowie XVIII wieku zasadzie powszechnej suwerenności. Już wcześniej jednak, jak zauważyła Jennifer Jackson Preece, idea suwerenności „nadała książętom dynastycznym władzę prawną i cele moralne próbom budowania państw”¹⁷. Pod piórem autorów, takich jak John Locke czy Thomas Hobbes doszło do znaczącego przesunięcia. Właściwym podmiotem rządów, na zasadzie przeniesienia moralno-prawnego konceptu władzy z „fizycznej osoby suwerennego władcy na terytorialny koncept suwerennego państwa i zbiorowego suwerena”¹⁸, stawał się lud. Efektem owego przeniesienia okazała się nowa zasada autorytetu politycznego, dzięki której koncepcja narodu etnicznego mogła nabrać pierwszoplanowego znaczenia¹⁹. Bezpośrednią konsekwencją wynalezienia idei powszechnej suwerenności było zatem pojawienie się ideologii nacjonalizmu, a więc – cytując klasyczną definicję Ernesta Gellnera – zasady politycznej, „która głosi, że jednostki polityczne powinny pokrywać się z jednostkami narodowościowymi”²⁰.

Zmiana zasady politycznej nie dokonała się jednak od razu. Jak zauważył Carlile Aylmer Macartney: „*Lewiatan* Hobbesa nie zawiera ani jednego słowa wskazującego na jakąkolwiek niewłaściwość w rządzeniu angielskiego króla walijskimi lub irlandzkimi poddanymi”²¹. W istocie, teoria suwerenności miała potwierdzać istniejący stan rzeczy (tzn. panowanie europejskich monarchów na

¹³ Tamże, ss. 126-127.

¹⁴ Tamże, s. 127.

¹⁵ J. Święch, dzieło cytowane, ss. 11-12. Por. też: M. Zadencka, dzieło cytowane, s. 131.

¹⁶ Tamże, ss. 124-125.

¹⁷ J.J. Preece, *Prawa mniejszości*, przeł. Małgorzata Stolarska, Warszawa 2007, s. 174.

¹⁸ J. Zadencka, dzieło cytowane, s. 14.

¹⁹ J.J. Preece, dzieło cytowane, s. 176 i następne.

²⁰ E. Gellner, *Narody i nacjonalizm*, przeł. T. Hołówska, Warszawa 2009, s. 75.

²¹ C.A. Macartney, *National States and National Minorities*, London 1934, ss. 38-39. Cytat za: J.J. Preece, dzieło cytowane, s. 174.

obszarach wieloetnicznych). Było to możliwe tak długo, jak długo nie zmieniło się zasadnicze pojmowanie sensu suwerenności. Hobbesowska idea państwa, podobnie jak wcześniej średniowieczna chrześcijańska *universitas*, opierała się na micie domniemanej zgody. Poddani, chcąc zagwarantować sobie bezpieczeństwo, na mocy moralno-prawnego kontraktu zrzekali się części należnych im praw politycznych na rzecz władcy²². Przy czym: tak zawiązana wspólnota polityczna miała charakter inkluzywny: członkostwo w niej – potencjalnie przynajmniej – pozostawało sprawą otwartą i zależało od indywidualnej chęci związania się „dominującą umową społeczną”²³. Był to więc dyskurs, w którym tożsamość etniczna nie była (jeszcze) warunkiem przynależności. Ideał dynastyczny, jako paradygmat władzy politycznej, został jednak nadszarpnięty (m.in. poprzez odrzucenie przekonania o boskim pochodzeniu królewskiej władzy) i konieczne stało się określenie zasady umożliwiającej porozumienie władcy i poddanych. Emancypacja idei suwerenności (tzn. oderwanie jej od centralizacyjnych dążeń państw dynastycznych) otworzyła drogę do postrzegania etniczności jako podstawy nowego systemu polityczno-prawnego, konkurencyjnego wobec monarchii dynastycznej i niereprezentatywnych form rządu. Wielkie, scentralizowane, a co za tym idzie – wieloetniczne wspólnoty polityczne, w których podstawą przynależności był mit domniemanej zgody i związany z nim system *ius solis* (określający obywatelstwo na podstawie urodzenia)²⁴, wydawały się coraz bardziej archaiczne i musiały ustąpić miejsca wspólnotom zorganizowanym na zasadzie domniemanego pokrewieństwa. Członkostwo w tego typu wspólnotach opierało się, jak pisze Jennifer Jackson Preece, nie na wierze w indywidualną autonomię (symbolizowaną przez mit zgody), lecz zaangażowaniu „w zbiorowe «ja», symbolizowane przez pochodzenie – język i kulturę ludową”²⁵. Innymi słowy: zasadzało się „raczej na więzach krwi (*ius sanguinis*) niż na prostym fakcie bycia urodzonym pod jurysdykcją konkretnego monarchy (jak przez *ius solis*)”²⁶. Mit domniemanego pochodzenia stał się przy tym wygodną strategią oporu (i podstawą alternatywnej postawy politycznej) dla ludów zagrożonych w swojej suwerenności lub walczących o uzyskanie niezależnego państwa²⁷.

4.

W takich okolicznościach dyskurs wojny formalnej, jako reprezentatywny dla poprzedniego porządku polityczno-prawnego, prędzej czy później musiał zostać odrzucony. Organizujące go literackie i ikonograficzne wyobrażenia walki jako pojedynku (warto dopowiedzieć: równych stanem przeciwników) były w istocie pochodną alegorycznych wyobrażeń suwerennych państw jako „wielkich mężów” i jako takie legitymizowały sposób ich istnienia na arenie międzynarodowej – pośród innych, równych im organizmów²⁸. Nowy porządek polityczny, opierający się na zasadzie reprezentacji i znajdujący swoje uprawnocnienie nie w micie domniemanej zgody, lecz domniemanego pochodzenia domagał się wynalezienia nowego języka władzy. Powszechne odczucie niewystarczalności dotychczasowych konwen-

²² Tamże, s. 171 i następne. Por. też: J. Zadencka, dzieło cytowane, s. 124.

²³ J.J. Preece, dzieło cytowane, s. 167.

²⁴ O zasadzie *ius solis* (prawo ziemi) i *ius sanguinis* (prawo krwi) czytaj w: J.J. Preece, dzieło cytowane, s. 179.

²⁵ Tamże, s. 184.

²⁶ Tamże.

²⁷ Tamże, s. 185.

²⁸ „Państwa-suwereni, postrzegane jako jednostki nazywane w dyskursie prawniczym *personae publice* lub *personae morales* – «wielcy mężowie», formują relacje między sobą w myśl zasad filozoficznych i etycznych jako «równi wśród równych», «rodzina państw»”, J. Zadencka, dzieło cytowane, s. 125.

cji przedstawienia (ikonograficznych, literackich itp.) w okresie I wojny światowej nie wynikało więc wyłącznie z niespotykanej dotychczas skali konfliktu, jego niewyobrażalnego bestialstwa. Choć zmitologizowane wyobrażenie wojny formalnej, zbliżające wojenne świadectwo do poetyki powieści przygodowej, może wywoływać w umyśle czytelnika obrazy wojny „cywilizowanej”, „humanitarnej”, nie sposób zakładać, że była ona pozbawiona okrucieństwa a wizja zwycięstwa rekompensowała jednostkom ból i cierpienie (zaś ich najbliższym stratę). Wojna „dawnego typu” mogła się taką wydawać wyłącznie jako opozycja w dyskursie wojny „nowego typu” – jako jej konieczny negatywny kontekst. W istocie bowiem wyczerpanie pewnych konwencji mówienia, wyrażające się odrzuceniem określonego modelu opowieści jako nieautentycznego lub nieużytecznego, było efektem procesu głębszego, a niewidocznego dla uczestników walk pod Ypres, Verdun czy Amiens: wyczerpania fundującego owe konwencje dyskursu polityczno-prawnego. Zastąpienie dotychczasowego, racjonalistycznego i uniwersalistycznego dyskursu wojny – dyskursem rewolucji, w którym nie było miejsca na wizję walki „szlachetnej” (wróg, jako zagrażający etnicznej spójności państwa *ergo* jego niezależności, musiał zostać unicestwiony), świadczyło o całkowitej emancypacji i przyswojeniu zasady powszechnej suwerenności. Widziany w tej optyce dyskurs nowoczesnej wojny totalnej nie tylko okazuje się bezradny wobec ogromu wojennych okrucieństw na poziomie indywidualnego doświadczenia walczących, lecz także stanowi odpowiedź na nowy – nowoczesny – porządek polityczny: etniczne państwo narodowe.

Konrad Zych (ur. w 1985 r.) – krytyk literacki, redaktor naczelny portalu „Literatki.com”, doktorant na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracuje z miesięcznikami „Twórczość” i „Nowe Książki”, portalem „Xiegarnia.pl” oraz pismem dla młodzieży niewidomej i słabowidzącej „Światelko”.

Wojna łaśliła się do naszych stóp

Odwaga jest motorem życia

Gdzie byśmy byli gdyby nie odwaga? Nie zapłonąłby ogień w naszym ognisku. Nie wyszłybyśmy z jaskiń. Spętane łańcuchami widziałybyśmy cienie na ścianach, słuchając wyłącznie opowieści mężczyzn. Nie dowiedziałybyśmy się co jest za górą, co za rzeką. „Historia Człowieka jest przede wszystkim historią odwagi: dowodem, że bez odwagi nie będziesz mógł niczego zrobić, że jeżeli brakuje ci odwagi, na nic nie zda się inteligencja”¹ – twierdziła Oriana Fallaci. Odwaga niejedno ma oblicze: bywa i wspaniałomyślna i zadufana w sobie, intrygująca i niezbędna, nienawistna i ściśle powiązana z rozpaczą. Jest jeszcze jeden typ odwagi, o której pisała włoska korespondentka: ślepa, głucha, bezgraniczna, samobójcza, która jest owocem miłości. Taka nie słucha głosu rozsądku, nie liczy się z żadnym zagrożeniem. Często porusza góry, ale zdarza się, że to one ją przygniatają. Taka właśnie była Ninette – bohaterka *Inszallah*, alter ego samej Fallaci.

Taka też była córka amerykańskiego transcendentalisty, wysłana przez redakcję „New York Tribune” do Anglii i Włoch, Margaret Fuller. Pierwsza korespondentka zagraniczna na świecie opisywała rewolucję Giuseppa Mazziniego w 1848 roku, przeprowadziła też wywiad ze swoją mistrzynią George Sand, która w rozmowie ją rozczarowała. „Z całą pewnością w swoich czasach była najbardziej wyedukowaną Amerykanką. Mówiła wieloma językami, była niezmiernie czytana, płynnie poruszała się po literaturach i myśli filozoficznej Europy Zachodniej i Ameryk. A przy tym nie była tylko reporterką”² – twierdzi John Matteson, autor nagrodzonej Pulitzerem biografii Fuller. „Znalazła się w samym centrum włoskiej rewolucji. Nie tylko opisywała ją, ale brała czynny udział w powstaniu, była sanitariuszką. Dla niej powołanie nie było tylko kwestią odpowiedzialnego użycia języka, z jego transcendentalnymi obostrzeniami. Powołanie było rodzajem pasji, zaangażowania, odwagi, wszystkie one niosły w sobie największą ofiarę miłości i życia. Oczywiście w imię wolności” – wyjaśnia amerykański biograf. O tym jak ważna była to postać świadczy fakt, że w całym Rzymie jest tylko jedna ulica imienia obywatela Stanów Zjednoczonych. Nie jest to Lincoln, Roosevelt czy Kennedy. To ulica Margaret Fuller.

Ta sama siła pociągnęła Kity Coelman, by porzucić „Womans’s Kingdom”, stała rubrykę z poradami dla kanadyjskich gospodyń domowych, i zaciągnąć się na wojnę amerykańsko-hiszpańską w 1898 roku. Dla redakcji „Globe and Mail” nie miała jednak przysyłać wieści z kubańskiego frontu, tylko to co działo się poza nim. „Bzdury jakieś” – miała powiedzieć Kity i uzyskała jako pierwsza kobieta w historii akredytację korespondentki wojennej.

Opierająca się na różowej sofie kobieta w białej sukni z wysokim kołnierzem aż po szyję, wygląda jak zasluchana pensjonarka, która tylko przysiadła i odłożyła kapelusz. Niech litografia z National Portrait Gallery nas nie zmyli. To feministka, miłośniczka niebezpiecznych przygód, egzotycznych wojaży i damskiego futbolu.

¹ Oriana Fallaci, *Inszallah. Powieść*, przekład Joanna Ugniewska, Warszawa 1993, s. 598.

² Rozmowa z Johnem Mattesonem (J. Matteson, *The Lives of Margaret Fuller: A Biography*. W.W. Norton, New York 2012) w prywatnych zbiorach autorki (Szczecin, sierpień 2013).

Lady Florence Dixie najpierw przemieszkowała wraz ze swym mężem i oswojonym jaguarem w Patagonii, by następnie wyruszyć do krainy nieszczęścia³, Cape Town. Stamtąd przysyłała korespondencje do „Morning Post” w Londynie z pierwszej wojny burskiej, a także przeprowadziła dla gazety wywiad z Cetshwayo, ostatnim władcą niepodległego państwa Zulusów. Jej teksty w imperialistycznej Wielkiej Brytanii choć na moment wywołały współczucie w sercach kolonizatorów.

Prekursorki wychodzące z jaskini zrzuciły więzy i same zaczęły opowiadać historie. Świeżość ich spostrzeżeń, duża doza empatii, możliwość uchylania drzwi i wejścia w przestrzeń przez mężczyznę dotąd nieopisaną dało nową wartość w relacjach i korespondencjach dziennikarskich. Opisywanie świata było zadaniem ambitnym, niebezpiecznym. Mimo to znalazły swoje miejsce nie tylko na gazetowych szpaltach, ale też w podróży, powstaniach i na wojnach, które długo były środowiskiem zawłaszczonym przez mężczyzn z bronią lub maszyną do pisania.

Gra w mise en abime

Martha Gellhorn nie chciała stać w cieniu wielkiego, sławnego męża-dziennikarza. Bożonarodzeniowa podróż w 1936 roku na Florydę to spotkanie Ernesta Hemingwaya z autorką publikującą reportaże o pogrążonej w kryzysie Ameryce, wcześniej korespondentką we Francji. Miała za sobą współpracę z Dorothą Lange, słynną fotoreportażystką, a raporty przez nią pisane zostały zauważone przez samą Eleonorę Roosevelt, z którą się zaprzyjaźniła. Właśnie wydała swoją drugą książkę. Strzał w serce i Martha zostaje żoną Ernesta. Wspólny wyjazd do pogrążonej w wojnie domowej Hiszpanii to nie tylko romantyczna podróż kochanków ze szczyptą adrenaliny. To rozpoczynający się wyścig pary korespondentów na frontach światowych wojen: kto odszuka ciekawszych bohaterów, znajdzie się w odpowiednim miejscu i chwili, napisze ciekawie i wyśle szybciej depesze do swojej redakcji. Ich wewnętrzna zawodowa rozgrywka trwa przez cały okres czteroletniego małżeństwa. Kiedy w 1943 roku Gellhorn opuściła kubańską posiadłość Finca Vigia, by opisywać pogrążoną w pożodze Europę, Hemingway oburzony pyta ją: „Jesteś korespondentką wojenną czy moją żoną w łóżku?”. Odpowiedź jest jasna. Za dwa lata nie byli już małżeństwem.

Gellhorn bała się, że zapomni i nie zdąży zapisać. Wspomina o tym we wstępie do pierwszego wydania „The Face of War” w 1959 roku: „Pisałam bardzo szybko. Obawiałam się, że zapomnę dźwięków, zapachów, słów, gestów, które były w tamtym momencie i miejscu ważne. Opisywałam tylko to co widziałam, wszystko co napisałam jest prawdą. (...) Wierzę, że moja pamięć i wyobrażenia nie jest bronią nuklearną, ale skutecznym środkiem zapobiegawczym”⁴. Jej korespondencje z frontu II wojny światowej kipią od szczegółów: słysząc w nich szwajcarskie radio nadające relacje z oddanego o 7 kilometrów Monte Cassino, czuć słodki zapach żołnierskiej krwi przelanej w Normandii, doświadczyć można kołysania na pływającym szpitalu z sześcioma amerykańskimi pielęgniarkami na pokładzie. Oddaje głos polskiemu więźniowi w Dachau, obóz odwiedza w maju 1945 roku. Tyle samo detali jest, gdy opisuje dla „Atlantic Monthly” wojnę w Wietnamie, sześciodniową na Bliskim Wschodzie, domową w Nikaragui i Salwadorze. W wieku 81 lat wyjechała do Panamy, by opisywać amerykańską inwazję. „Musiałabym być bardziej zwinna” – tłumaczy przed sobą, dlaczego nie pojechała w 1990 roku do Bośni. Jakże odmiennie pisze o froncie, kiedy nie musi już ścigać

³ Patrz: F. Dixie, *In the Land of Misfortune*. Richard Bentley, London 1882.

⁴ Martha Gellhorn, *The Face of War*. Atlantic Monthly Press, New York 1988, s. 6 (przekład – M.Z.).

się z Hemingwayem. W *Travels with Myself and Another: A Memoir*⁵ (wydanej w 1978 roku) opisuje wojnę chińsko-japońską z 1941 i podróż po Morzu Karaibskim rok później w poszukiwaniu łodzi podwodnych. Jada pomyje, mieszka jak świnia, ocieka potem, a przy tym nie traci dziewczęcej ciekawości i naiwności. Zachowuje się jak dama z superfajansowym wiadrzem sanitarnym, cierpi na chorobę morską, podróżuje z czarną parasolką chroniącą przed słońcem i małym kotkiem. Ale wojny, którą chciałaby opisać, nie ma. Nie widzi rozbitków, zatopionych statków, okrętów podwodnych, cierpiących ofiar w bandażach. Trafia więc na rajskie, karaibskie plaże, gdzie pływa nago. I taką wojnę można opisać.

Nazwisko Swietłany Aleksijewiczowej, białoruskiej reportażystki, usłyszeć można było wśród kandydatur do tegorocznej Literackiej Nagrody Nobla. Najwybitniejsza dziennikarka Europy na miarę Fallaci – pisze Stefan Bratkowski. Wymieniana obok Ryszarda Kapuścińskiego i Tiziano Terzaniego na firmamencie mistrzów gatunku. Urodzona w 1948 roku pisze, że świat wojny to jedyny świat, który zna, a ludzie wojny – jedyni znani jej ludzie. O wojnie mówiono wszędzie wokół niej, chciała poznać jej sekret. Nie lubi czytać książek o wojnie, ale sama je pisze. „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”⁶, to dopuszczenie do głosu milczących do tej pory żołnierek, czołgistek, sanitariuszek, praczek, telefonistek i kucharek, sowieckich kobiet uczestniczących bezpośrednio w minionej wojnie światowej. Aleksijewiczowa mówi o sobie historyczka dusz, zbieraczka głosów z samego życia, słuchaczka bólu, czytelniczka intymnych głosów. Jak wyznaje w wywiadzie⁷ nie jest pierwszą, która stosuje taką metodę – przed nią była Sofia Fedorczenko, sanitariuszka zapisująca swoje rozmowy z żołnierzami z frontu I wojny światowej. Relacje kobiet zbierane przez dziennikarkę w latach 1978-1983, ukazały się w 1985 roku, w momencie kiedy w ZSRR rozpoczynała się proklamowana przez Michaiła Gorbaczowa pierestrojka. Rok później reporterka przyjeżdża do ogarniętego od 7 lat wojną Kabulu. Owocem tego wyjazdu będzie książka *Ołowiane żołnierzyki*. Jak wyznaje w pierwszym zdaniu notatek: „Nie chcę więcej pisać o wojnie”⁸. Zadaje sobie pytania: „Jak jednocześnie przeżywać historię i pisać o niej?”⁹ (...) Kto mi uwierzy, jeśli o tym napiszę?”¹⁰. Stawia wewnętrzny opór przed doświadczeniem, odwagą i ryzykiem, którym chwali się jej koledzy, korespondenci: „Dziennikarzy nazywa się tu bajkopisarzami. Literatów też. W grupie literackiej sami mężczyźni. Rwą się do najdalszych patroli, do walki.

– Dlaczego? – pytam jednego z nich.

– Z ciekawości. Opowiem, że byłem nad Salangiem. Postrzelam sobie.

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że wojna jest wytworem męskiej natury, w większości dla mnie niepojętej. Ale codzienność wojny jest wspaniała. U Apollinaire’a: «Ach, jaka piękna jest wojna».

Na wojnie wszystko jest inne – i ja, i natura, i moja myśl. Tu zrozumiałam, że ludzka myśl może być bardzo okrutna”¹¹.

Patrzy na ciała dzieci, rozerwane przez minę przeciwpiechotną, aby napisać o tym. Za plecami śmieją się z niej, że jest strachliwą panienką. W jej postawie

⁵ Martha Gellhorn, *Pięć podróży do piekła*, przekład Justyna Grzegorzczak, Poznań (egzemplarz recenzycki w zbiorach M.Z.).

⁶ Swietłana Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przekład Jerzy Czech, Wołowiec 2010.

⁷ *Dzieci wojny umierają wcześniej niż ich rodzice*, ze Swietłaną Aleksijewicz rozmawia Stanisław Łubieński, w: „Nowe Książki”, nr 4/2013, s. 6.

⁸ Swietłana Aleksijewicz, *Ołowiane żołnierzyki*, przekład Leszek Wołosz, Wrocław 2007, s. 13.

⁹ Tamże, s. 15.

¹⁰ Tamże, s. 21.

¹¹ Tamże, ss. 17-18.

nie ma nic heroicznego, jest za to szczerść i uczciwość. Mdleje od upału albo od wstrząsu. W przeszło 300-stronicowej książce notatki z wojny zajmują 6 kartek, nie więcej. Ucieka od własnego przekazu, korespondencji wojennej: „Myślałam o niemożności napisania książki o wojnie – na wojnie. Przeszkadza żal, nienawiść, fizyczny ból, przyjaźń. I list z domu, po którym tak chce się żyć. Opowiadają mi tu, że kiedy zabijają, starają się nie patrzeć w oczy, nawet wielbłądowi. Tu nie ma ateistów. I wszyscy są przesądni”¹².

Na pozostałych stronach ponownie oddaje głos innym, tym razem ofiarom walk w Afganistanie. I tym bezpośrednim: walczącym, i pośrednim: matkom weteranów, wdowom po żołnierzach. Relacje są wstrząsające: opowieść o matce, która kalekiemu synowi bez nóg stała się kochanką, o szeregowym zwiadowcy, który na wojnę zabrał garść ojczystej ziemi, o kanonierze, który sprzedawał gotowane naboje (ugotowana kula nie wylatuje, ale jakby wypływa się z lufy, nie można nią zabić), o żonach, które chowają tytułowe cynkowe malcziki¹³, mając wątpliwość, czy w trumnach znajdują się ich mężowie. Rejestruje słowa na taśmie magnetofonowej, nie zbiera własnych obserwacji z wyjazdu na front. Mimo szczegółowej dokumentacji para bohaterów wytoczyła w 1993 roku proces, obwiniając autorkę o przeinaczenie i fałszowanie opowieści „afgańców” i ich matek, wygrany zresztą przez Aleksijewiczową. Dlaczego omija własne doświadczenia? Bo nie chce ulec romantyce wojny, której poddają się pisarze i dziennikarze. Nie chce czuć tego co mężczyźni, kiedy strzelają z karabinu, nawet jeśli na co dzień w dłoni trzymają pióro a nie broń. Wracając z Kabulu, pisze w śmigłowcu: „Zetknę się z czymkolwiek podobnym i od razu myśl: literatura dusi się w swoich granicach. Przez kopiowanie i fakt można wyrazić tylko to, co widzą oczy, a komu potrzebne dokładne sprawozdanie z tego, co się dzieje? Potrzebne jest coś innego – utrwalone мгновение wyrwane życiu...”¹⁴.

Przykrywką może być udzielenie głosu świadkom wojny, czemu wierna jest Aleksijewiczowa, kamuflażem będzie opis prywatnych doświadczeń wojennych w an-turazu egzotycznych zamorskich podróży, jak zrobiła to Gellhorn. U wspomnianej już wcześniej Fallaci to gra z czytelnikiem, świadomym biografii autorki, któremu wręczona została w dłoń powieść wojenna, a nie korespondencja. Najsłynniejsza włoska dziennikarka była na pierwszych liniach walk w Wietnamie, Laosie, Kambodży, Libanie, Iranie czy na Bliskim Wschodzie. Czuli, że żyje tylko tam, gdzie można było dostać kulę między zębra. Nawet wtedy, gdy w 1968 roku ciekawość i odwaga doprowadziły ją do kostnicy. W trakcie demonstracji na placu Trzech Kultur w Meksyku policja otworzyła ogień do studentów, Fallaci została ranna. Podobno tak ciężko, że uznano ją za zmarłą i umieszczono wśród ciał zamordowanych. Swoje reporterskie obserwacje, ściśle związane z życiową brawurą i odwagą na skraju szaleństwa, umieszcza bezpiecznie na kartach powieści. Tylko tu miała szansę wymyślić prawdę na nowo, uogólnioną, z którą się zidentyfikuje i w której się rozpozna. Ale to też zabawa z czytelnikiem, który zapada się w otchłań grając w mise en abime. Wyjaśniała to w *Inshallah*: „Wiesz, tej grze polegającej na fotografowaniu albo malowaniu lustra, w którym odbija się drugie lustro, odbijające je w nieskończoność w serii obrazów coraz mniejszych i coraz bardziej czarnych, tak

¹² Tamże, s. 22.

¹³ Polski tytuł *Ołowiane żołnierzyki* jest mylący. Oryginalny *Cynkowe malcziki* to odwołanie nie tylko do dziecięcej zabawki, ale też do zwłok żołnierzy, które przywożono z frontu z Afganistanu w cynkowych trumnach.

¹⁴ Tamże, s. 24.

że gdy na nie patrzysz, wydaje ci się, że zapadasz się w otchłań¹⁵”. Nie znalazła słów, by opisać własne przeżycia, wołała multiplikować je aż do nieuchwytnego ostatecznie odbicia w zwierciadle. Nie tworzy obrazu, tylko reinterpretuje swoje doświadczenia, układając je według własnego schematu, a nie chronologii zdarzeń.

Byłam kobietą w świecie mężczyzn

Było i jest ich wiele. Arturo Pérez-Reverte, znany bardziej jako autor historycznych kryminałów niż reporter wojenny (relacjonował najważniejsze konflikty od 1973 do 1994 roku), wymienia na stronach *Terytorium komańców*¹⁶ kilkanaście swoich koleżanek. Jest Carmen Postigo tańcząca zmysłowo ze swym szwedzkim kamerzystą po upadku Ceașescu. Inna Carmen Sarmiento przekazująca na żywo informację z zasadzki, w którą wpadła w Nikaragui. Corinne Dufka z zawieszonym aparatem Nikona na szyi, która wyleciała w powietrze w Gorni Vakuf podczas wojny w Bośni. Wylizła się z ran i pokryta bliznami znów pojechała na wojnę. Tak jak Marie Colvin, która straciwszy lewe oko od odłamka na Sri Lance, odmówiła przyjęcia narkozy, bo musiała przecież wracać do pracy, pisać, nadawać, wysyłać w świat informacje. Z charakterystyczną czarną opaską na oku wróciła do pracy na pierwszej linii dziennikarskiego frontu. Zginęła w Syrii wraz z Réminem Ochlikiem, dwudziestoosmioletnim laureatem World Press Photo.

Telefon Piotra Góreckiego z informacją o śmierci Colvin rozpoczyna książkę Anny Wojtacha *Kruchy łód. Dziennikarze na wojnie*¹⁷. Polska korespondentka telewizyjna opisuje pracę w trakcie pięciodniowej wojny w Gruzji, ataku terrorystycznego na hotel Oberoi w Bombaju, zbrojnych ataków w Strefie Gazy i w Afganistanie. Są odgłosy pocisków i pył ze zburzonych domów, skwar i ciężar statywu z kamerą, głód i niewyspanie, pogoń za informacją, relacje na żywo i kłótnie z tłumaczem-przewodnikiem. Wszystko to co jest na wojnie. O sobie i kolegach z branży Wojtacha mówi: wojenne ćpuny, które ustawiają swoją wrażliwość i odbiór rzeczywistości na tryb terminatora. Przez cały czas próbuje nie czuć i nie uciec. Wydaje się, że ma na sobie pancerną mentalną kamizelkę, która będzie chronić ją przed emocjami, jednak nabyta zdolność ich ukrywania nie zdaje egzaminu. Porusza ją pies przybędą w czasie bombardowania drogi do Osetii, wzrusza los dzieci w zamkniętym kwartale w obozie dla uchodźców w Gazie. Nie jest przy tym tkliwa. W brudnych, przepoconych ubraniach, z kamizelką kuloodporną i hełmem z napisem TV, z językiem knajackim traci kobiecość i subtelność. Ma tylko ze sobą perfumy, którymi spryskuje rękaw kurtki, by nie czuć odoru wojny. Jak powiedział w wywiadzie do „Playboya” Wojciech Jagielski, korespondent wojenny, dziennikarki na froncie tracą płęć. Nie jest to do końca prawdą. Coraz częściej, choć o tym nie pisze się powszechnie, dochodzi do molestowania i gwałtów na korespondentkach wojennych. Kiedy rewizja zamienia się w sesję pieszczot na muszce. Nie mówią o tym, bo przecież należą do klubu macho. O przemocy seksualnej wobec dziennikarek nie ma nawet raportu w Komitecie Ochrony Dziennikarzy (CPJ). Do tej pory jedyne badania na ten temat przeprowadził News Safety Institute. Z 29 anonimowo wypowiadających się korespondentek ponad połowa przyznała się, że podczas pracy doświadczyły molestowania. Dwie zostały zgwałcone. Wojtacha pisze o nieprzyjemnych zdarzeniach, w którym sama uczestniczyła. Na Kaukazie rosyjski komandos w zamian za kamizelkę chciał od niej czegoś więcej. W tłumie Hindusów ktoś zaczął ją dotykać: muskać po pośladkach, wślizgiwać się dłonią

¹⁵ Oriana Fallaci, *Inszallah*, dzieło cytowane, ss. 865-866.

¹⁶ Arturo Pérez-Reverte, *Terytorium komańców*, przekład Joanna Karasek, Warszawa 2008, ss. 98-100.

¹⁷ Anna Wojtacha, *Kruchy łód. Dziennikarze na wojnie*, Warszawa 2012.

pod koszulkę. Czasami jak sama się przyznaje są momenty, że trzeba się schować, zdarzało jej się jechać w bagażniku.

Na wojnie jest też czas na czułość i namiętność, choć w obliczu śmierci ma się poczucie, że zbliżenie może być tym ostatnim. Uprawia się seks tak, jakby miała to być ostatnia szansa. U Wojtachy to nie tylko orgazm w takt ostrzału raketowego: „Wtulam się w Pawła. Miłość na wojnie ma inny smak. Jest nie tylko spełnieniem i rozkoszą. Jest silną potrzebą, jest odreagowaniem. Jest namiętna do granic, gwałtowna i ostra. Spotęgowana przeżyciami całego dnia. Ekstremalna jak miejsce, w którym jesteśmy”¹⁸. U Pérez-Reverte’a to hotelowa scena w Holiday Inn z korespondentką radiową Marią Portugalką. Poprosiła dziennikarza Fernanda Mugikę o zgodę na wykąpanie się w ciepłej wodzie. Potem zasnęła w łóżku naga, leżąc na plecach ze wspaniałymi piersiami. Mugik i jego przyjaciel Barlés przesiadeli cały wieczór na wprost łóżka, pijąc, rozmawiając i podziwiając pejzaż rozpostarty na pościeli. Namiętność to jedyna rzecz na wojnie, która jest intymna, osobista i prywatna. Cała reszta to wydarzenia wspólne, wszystko, bez wyjątku – nawet śmierć.

Kobiecość, seksualność, ciało pomagają i przeszkadzają jednocześnie. Pozwalają dziennikarce przenikać światy kobiet i mężczyzn. Bywa niewidzialna, transparentna. Jest korespondentką więc może siedzieć w sztabie, wsłuchiwać się w rozkazy dowódcy, relacje żołnierzy, zbliżyć się do frontu na tyle blisko, by zrobić dobre zdjęcia. Dziennikarce wybaczają się więcej, jej pytania mogą być jak pociski dum dum owinięte w angorę – takie zadawała i Oriana Fallaci, i Barbara Walters. Równocześnie jest korespondentką, która może wkroczyć w przestrzeń zamkniętą przed mężczyznami: młodej kobiety w połogu, garderoby i kuchni. Tam wkracza Anna Badkhen, rosyjska dziennikarka pisząca dla amerykańskiej prasy z Iraku, Palestyny, Afganistanu. Reportaże wraz z recepturami z wojennych garkuchni i ognisk zebrała w tomie *Kałasznikow kebab*¹⁹. Obok przepisów kulinarnych na dolme z Mosulu, czyli nadziewane liście winogron, gotowanego homara w Tikricie czy na rosyjski barszcz umieszcza relacje z frontu. Praca nauczyła jej trzech wojennych prawd: niebezpieczne sytuacje często okazują się trywialne; kiedy myślisz, że jesteś bezpieczna, to w rzeczywistości jesteś w ogromnym niebezpieczeństwie; wojna jest dla mięsożernych uzbrojonych mężczyzn, warzyw na froncie nie znajdziesz. Gościnność wydaje się czymś naturalnym w rejonie wojskowych starć. Ciepłe jedzenie podnosi na duchu, kiedy jest bardzo źle. Przy posiłkach rozmawia się, opowiada o sobie i otwiera drzwi do życia obcych ludzi, nawet jeśli nie zna się ich języka. Czasami stają się tak bliscy, że Badkhen uważa ich za przybranych braci i siostry, matki i ojców. Sunnitka i szyitka, tłumaczki z Bagdadu, stały się nawet jej przyjaciółkami. Rozmawiały o mężczyznach, randkach, małżeństwach, miłościach, seksie przedmałżeńskim, apodyktycznych rodzicach i nowo narodzonych dzieciach. Dzieliły się sekretami i plotkami, jak wszystkie kobiety na świecie. Choć relacje nawiązane w pracy reporterki nie są tak bliskie i trwałe, tak jakby tego chciała. Wojna u niej to nie tylko ruiny, krew i śmierć, to również wspólne gotowanie, wymiana przepisów. Choć wciąż musi sobie przypominać, że jest tu tylko na chwilę, przejazdem, dopóki skończy się temat w serwisie informacyjnym.

Czy jesteś jego synem? – Afgańczycy zapytali o Annę jej męża. Wszak nosi spodnie, pali papierosy, siada po turecku i bezwstydnie zadaje pytania bojownikom i przywódcom wojskowym. Powinna odwracać głowę na widok kogoś obcego i tylko mężczyzna może zwrócić się do kogoś w jej imieniu. Tak Badkhen straciła swoją

¹⁸ Tamże, s. 155.

¹⁹ A. Badkhen, *Kałasznikow kebab. Reportaże wojenne*, przekład Ewa Kleszcz, Warszawa 2011.

pleć. Odzyskała ją, uczestnicząc, w jednodniowym eksperymencie: dzień w burce. Niebieska siatka ograniczała pole widzenia, kwiecista draperia sprawiała problemy w chodzeniu. Mężczyźni cmokali i obdarzali ją komplementami:

„– Ładnie!

To był najmiłszy komentarz na temat burki, jaki usłyszałam, bo po chwili Biżan, drugi tłumacz wypalił:

– Lepiej wyglądasz w burce niż bez.

Siwowłosey kucharz Mullah, dostrzegając niezręczność tej wypowiedzi, pospieszył z pocieszającym:

– Burka jest w twoim rozmiarze.

W rzeczy samej, jak można skomplementować kobietę w burce? Powiedzieć, że pasuje do koloru jej oczu?”²⁰.

Kobiety zareagowały bardziej pragmatycznie na niewygodny strój:

„– Odkryj twarz – zawołały za mną kobiety od drzwi. Ale to nie było feministyczne wezwanie do wyzwolenia się od tej zasłony.

– Odkryj twarz – krzyknęły – albo wpadniesz w błoto!”²¹.

Z wojny nie da się otrześć jak z kurzu bezdroży i pyłu na zbombardowanych ulicach. Pocztówki z rejonu konfliktów zbrojnych wracają do korespondentek: to bezsenność nocy, znieczulenie alkoholem i narkotykami, powidoki wojenne wyłazające z warszawskiej codzienności, agresja wobec najbliższego syna. Zespół stresu wojennego dotyka tak samo wszystkich uczestników wojny bez względu na płeć i tego czy piszą depesze, czy oficerskie raporty. To nie jest miejsce dla kobiety – usłyszała młoda freelancerka po ostrym ostrzale w syryjskim Aleppo. Włoska korespondentka Francesca Borroi pisze:

„Ale gdybym naprawdę rozumiała wojnę, nie rozpraszałabym uwagi na pisanie o rebeliantach i lojalistach, sunnitach i szyitach. Bo tak naprawdę jedyna opowieść o wojnie traktuje o tym, jak żyć bez strachu. Tu wszystko może się skończyć w ułamku sekundy.

Jeśli wiedziałabym to wcześniej, przez całe życie nie bałabym się tak bardzo kochać, zamiast być tu i teraz i obejmować się ramionami w tym ciemnym, zatęchłym rogu, desperacko żałując wszystkiego, czego nie zrobiłam, czego nie powiedziałam. Wy, którzy jutro wciąż będziecie żywi, na co czekacie? Dlaczego niemość kochacie? Wy, którzy macie wszystko, czego się tak boicie?”²².

Chciałoby się powiedzieć, że wojna to nie jest miejsce dla nikogo.

²⁰ Tamże, s. 104.

²¹ Tamże, s. 121.

²² Francesca Borri, *Syria to nie jest miejsce dla nikogo*, przekład Przełożyła Katarzyna Wężyk, w: „Gazeta Wyborcza”, 27-28 lipca 2013, s. 15.

Małgorzata Szlachetka

Lubelskie getto na fotografii

Do naszych czasów zachowało się kilkadziesiąt zdjęć z lubelskiego getta. Robili je Niemcy. Jeden z ostatnich aktów dramatu, to fotografie przedstawiające systematyczne wyburzanie żydowskich domów.

Żydzi w Lublinie w zdecydowanej większości byli tradycyjną społecznością, głównie rzemieślników i kupców. Przed wojną wychodziły tutaj gazety pisane w jidysz i jeśli ktoś chciał poczytać żydowski dziennik wydawany po polsku, to sięgał po tytuły wydawane w Warszawie albo w Krakowie. Dzielnica żydowska w Lublinie, co nie jest wyjątkiem, powstała na dawnych terenach królewskich, na których nie obowiązywał przywilej *De non tolerandis Judaeis*. Tam Niemcy 20 marca 1941 roku utworzyli getto. Żydzi mieszkający w innych częściach miasta do 5 kwietnia 1941 roku musieli się przenieść do dzielnicy zamkniętej.

Represje spotykały Żydów od pierwszego dnia po wkroczeniu Niemców. Róża Fiszman-Sznajdman we wspomnieniach *Mój Lublin* pisze: „W tych pierwszych dniach zrobili też wstępną segregację przy wydzielaniu cukru. Na Świętoduskiej u Podsiadłowskiego zezwolili na sprzedaż tego produktu – Żydzi mogli kupić ćwierć, Polacy pół kilograma. Zarządzili, by według narodowości ustawiono się w dwóch oddzielnych kolejkach. Byłam świadkiem, jak wyciągnęli starego, ledwo trzymającego się na nogach Żyda z kolejki przeznaczonej dla Polaków i pobili go bezlitośnie”. Dwudziestego trzeciego listopada 1939 roku wyszło rozporządzenie o oznaczeniu sklepów należących do Żydów widoczną gwiazdą Dawida. Akty grabieży powtarzały się systematycznie i były coraz bardziej zuchwałe. Żydów objął też m.in. zakaz korzystania z miejskiej komunikacji, leczenia się u lekarzy nie-Żydów, a nawet korzystania z bibliotek publicznych.

Ludzie w łachmanach, siekani deszczem

Pętla zaciskała się coraz bardziej. Jednym z mroczniejszych aktów tragedii lubelskich Żydów były wysiedlenia na prowincję w marcu 1941 roku. Wstęp do utworzenia getta. Nauczycielka z Lublina Ida Gliksztajn tak opisała wysiedlenie: „Padał śnieg z deszczem, marcowy wiatr hulał po opustoszałych krzywych ulicach getta. Żandarmi szli z domu do domu, wyciągali ludzi z mieszkań i kryjówek, i na każdej ulicy zbierano ich w grupy pod strażą jednego Niemca. Wysiedlono prawie samych biedaków, bo każdy zamożniejszy człowiek nabywał za mniejszą lub większą kwotę kartę pracy, dającą mu złudzenie bezpieczeństwa. Żaloszny widok przedstawili ci ludzie w łachmanach, tulący się do murów, siekani deszczem i przenikliwym wiatrem” (cytat za stroną www.teatrnn.pl). Także w trakcie akcji Niemcy robili zdjęcia. Na jednej z fotografii widzimy mężczyznę, który z obawą zerka na stojącego obok Niemca. Całym dobytkiem wysiedlanego jest to, co niesie na swoich plecach. Sznurem przywiązał na plecach duży biały tobołek, może pierzynę i walizkę. Z przodu ma jeszcze worek, w którym pewnie schował jedzenie na drogę. Obok niego stoi kobieta z dzieckiem na ręku. Jest w kwiecistej sukience. Może kolorowy materiał sukienki przyciągnął wzrok fotografa. W tle, nieco z tyłu, widzimy innych z takimi samymi tobołkami.

Zasieki zamiast muru

Getto w Lublinie nigdy nie zostało – jak warszawskie – otoczone murem, chociaż były takie plany. W archiwum Muzeum Lubelskiego jest fotografia przedstawiająca ogrodzenie z drutu kolczastego dzielące ulicę Kowalską. W tym miejscu przebiegała granica dzielnicy zamkniętej. Widać drewnianą budkę strażniczą przy głównym wejściu do getta i ludzi z opaskami z gwiazdą Dawida na ramieniu. Po drugiej stronie jest już strona aryjska, ulicą jakby nigdy nie jedzie sobie dorożka. Ta granica nie zawsze była szczelna. Wiemy, że nie-Żydzi wchodzili do getta, choćby po to, aby za bezcen dostać garnitury i futra od głodujących mieszkańców. Takie praktyki piętnowała gadzinówka „Nowy Głos Lubelski”. Wydawana pod dyktando okupanta gazeta miała też w złym świetle przedstawiać mieszkańców getta. Z tych artykułów wyłania się jednak dramat skazanych na śmierć. Tadeusz Radzik, lubelski historyk i znawca dziejów getta w Lublinie w albumie *Zagłada lubelskiego getta* cytuje fragment artykułu, który w „Nowym Głosie Lubelskim” ukazał się 2 lipca 1941 roku. „W małych izdebkach gnieźdzą się całe rodziny szewców. Dalej znajdują się jatki, w których nic nie można dostać. (...) Pod ścianami w bramach domów siedzą żebracy. Jedni krzykliwym głosem, a drudzy, wyciągając tylko kikuty nóg opakowane w łachmany, domagają się jałmużny. Widok przerażający” – czytamy. Z cytowanego artykułu dowiadujemy się też, że „w lubelskiej dzielnicy żydowskiej największe życie skupia się na ul. Cyruliczej”. Potwierdza to fotografia, jaka jest w zbiorach Muzeum Lubelskiego. Tłum na Cyruliczej wydaje się nieprzebrany – ludzie zajmują nie tylko chodniki, ale całą szerokość ulicy. Tylko biel opasek z gwiazdą Dawida kontrastuje z ciemnymi płaszczami. Trudno rozróżnić poszczególne twarze. Jest w tym obrazie niepokój i dojmujące poczucie klaustrofobii. Zarówno na tej fotografii, jak i innej, przedstawiającej ulicę Szeroką, żaden z balkonów nie ma balustrad, bo Niemcy kazali usuwać metalowe elementy i przekazywać je na rzecz wojska. Naznaczeni są więc nie tylko mieszkańcy, ale nawet ich domy.

fotografie
z archiwum
Ośrodka Brama
Grodzka –
Teatr NN



Getto w kolorze

Widok ulicy Cyruliczej znajdziemy też w wyjątkowej kolekcji, bo pokazującej lubelskie getto w kolorze. Kolorowych fotografii z getta w Lublinie jest 77. Ich autorem jest Niemiec Max Kirnberger. Przed wojną był nauczycielem w szkole dla niesłyszących. Służył w oddziale łączności Wehrmachtu. Prywatnie fascynował się fotografią, w czasie okupacji robił zdjęcia w gettach Zamościa, Izbicy oraz Rzeszowa. Cała kolekcja znajduje się w zbiorach Deutsches Historisches Museum w Berlinie.

Siedemdziesiąt siedem wyjątkowych fotografii powstało w getcie lubelskim. I znowu widzimy tłum na ul. Cyruliczej. Jednak to, że kolorowa fotografia została zrobiona w słoneczny dzień pozwala na moment zapomnieć, że patrzymy na portret społeczności skazanej na zagładę.

Co jest najbardziej niepokojącego w kolorowych zdjęciach getta w Lublinie? Nie zobaczymy na nich zmarłych leżących na chodniku, ale świat uchwycony tuż przed ostateczną katastrofą. Śmierć w getcie i obozie koncentracyjnym jest czarno-biała. Pod powiekami mamy kanoniczne obrazy z tego czasu: umierające z głodu dzieci z getta warszawskiego, pochód do bydłowych wagonów, które pojadą do obozu zagłady, byli więźniowie przy drutach Auschwitz w dniu wyzwolenia obozu. Kolorowe fotografie z czasów II wojny światowej to rzadkość. Dlaczego przemawiają do nas z większą siłą? Bo żyjemy w epoce, w której multiplikowane obrazy atakują nas z każdej strony. Przeszłość w kolorze wydaje się bliższa naszym czasom.

– Kolorowych diapozytywów fotograficy na pewno używali przed II wojną światową. Znamy barwne zdjęcia z obrony Warszawy w 1939 roku. Niemieccy żołnierze na froncie wschodnim dostawali też kolorowe filmy do swoich kamer – zaznacza Marcin Fedorowicz z Pracowni Ikonografii Ośrodka Brama Grodzka Teatr NN w Lublinie.

Wyjątkowe jest nie tylko to, że Max Kirnberger używał kolorowych klisz, ale to jak fotografował. Spójrzmy na getto w Lublinie oczyma niemieckiego żołnierza. Uwagę zwracają świetnie wykadrowane portrety – mężczyzny z siwą brodą, kobiety z dzieckiem na ręku, nosiwody z dwoma wiadrami na ramionach, dorożkarza z batem w ręku. Wydaje się, że Żydzi nie boją się fotografa.

Obrazy oddają rytm codziennego życia w getcie. W wielu przypadkach Kirnberger jest dyskretnym obserwatorem, utrwała zwyczajne zdarzenia. Dwaj mężczyźni wynieśli z domu zniszczony stół, trzeci sprawdza, czy szuflada lekko się otwiera. Na innej fotografii widzimy klienta, który zastanawia się, czy kupić garnitur od ulicznego sprzedawcy, uważnie ogląda szwy i materiał. Albo taka, fantastyczna po prostu, scena: chłopiec w obcisłej w koszulce z krótkim rękawem i kaszkiecie podchodzi do sprzedawczyni placków ziemniaczanych. W głębi tej fotografii widzimy chłopca, który usiadł przy murze i spuścił głowę na podciągniętych kolanach. Czy to dlatego, że jest zbyt słaby, aby iść dalej? Nasuwa się tutaj fragment cytowanego wcześniej reportażu z „Nowego Głosu Lubelskiego”: „Pod ścianami w bramach domów siedzą żebracy”.

Na twarzach osób sfotografowanych przez Kirnbergera nie widać jeszcze głodu. Prawdopodobnie dlatego, że zdjęcia powstały, kiedy utworzone przez Niemców getto nie było jeszcze zamknięte. Uwagę historyków zwróciło zdjęcie przedstawiające Żydówki idące za Bramą Krakowską. W tle znalazły się wypalone mury Hotelu Centralnego, który spłonął w czasie niemieckiego bombardowania 9 września 1939 roku.

Lubelscy historycy uważają, że Max Kirnberger prawdopodobnie nie robił zdjęć w getcie dla celów propagandowych, ale wyłącznie dla siebie. Na prywatny użytek. Czy jednak był wolny od antysemickich poglądów? Niemcy, fotografując

Żydów w gettach, starali się portretować osoby o semickich rysach. Ale też stare i chrome. Zdjęcia miały być dowodem na to, że polityka nazistowska wobec Żydów jest w pełni uzasadniona. W tym kontekście nie można zapominać o jeszcze jednej istotnej rzeczy. Fotograf, decydując co uwieczni, dokonuje interpretacji rzeczywistości. Czy nie tak było także w przypadku kolorowych zdjęć Kirnbergera? Czy wybierał tylko te postaci, które pasowały mu do jego wizji mieszkańców dzielnicy dla ludności żydowskiej? Zauważał eleganckiego, młodego mężczyznę w czarnym garniturze i pod krawatem, albo matkę w jasnym kostiumie, prowadzącą za rękę kilkuletnią dziewczynkę, a nie widział trupów leżących na chodnikach? Przecież śmierć w getcie od początku zbierała żniwo. Anna Langfus w swoich wspomnieniach „Skazana na życie” pisze o getcie w Lublinie: „Leży pod drzwiami. Podnoszący się w regularnych odstępach papier odkrywa ciało gołe od pasa. Niebieski brzuch jest ogromny, jak gdyby zaraz miał wydać na świat dziecko, owoc kopulacji tej kobiety z gettem. Zadarta sukienka zasłania jej ramiona i głowę. Aby wejść pod numer siedemnaście, trzeba przez tego trupa przekroczyć”.

Śmierć na raty

Dwudziestego drugiego lutego 1942 roku Niemcy podzielili getto na dwie części „A” i „B”. Znalezienie się w tej drugiej części miało być gwarancją przetrwania. Wśród zdjęć z lubelskiego getta znajdziemy fotografię przedstawiającą moment, w którym ogrodzenie między dwiema częściami jest dopiero budowane. Wszystko pokrywa śnieg, nieliczni przechodnie przemykają opustoszałymi ulicami. Kamienice wyglądają na opuszczone.

– Zdjęcie było wcześniej datowane na okres przedwojenny, coś mi jednak nie pasowało. W chwili, gdy zobaczyłem, że balkony nie mają balustrad, już wiedziałem, że to fotografia wojenna. Potem była kwestia precyzyjnego datowania. Po powiększeniu zdjęcia, okazało się, że białe kropki na ramionach nie są wadami negatywu, ale opaskami z gwiazdą Dawida. Ostateczny dowód to płot na rogu ulic Zamkowej i Krawieckiej. W pewnym momencie ogrodzenie urywa się, to mi uświadomiło, że fotografia została zrobiona w trakcie jego budowy. To unikatowe zdjęcie, zrobione tuż przed likwidacją getta – opowiada Marcin Fedorowicz z Ośrodka Brama Grodzka – Teatr NN w Lublinie. Fotografię widzieli przedstawiciele Ziomkostwa Lubelskiego z Izraela. – Byli poruszeni. Świadomie pokazałem ją jako ostatnią – dodaje Marcin Fedorowicz.

Znajdziemy też fotografie dokumentujące ostatnie akty tragedii. W kolekcji Symchy Wajsa jest fotografia Żydów z tobołkami idących ulicą Świętego Mikołaja (obecnie Szkolna). Marcin Fedorowicz z Pracowni Ikonografii Ośrodka Brama Grodzka Teatr NN uważa, że zostało prawdopodobnie zrobione w 1942 roku, w czasie likwidacji getta na Podzamczu. Akcja zaczęła się w nocy z 16 na 17 marca 1942 roku i trwała miesiąc. Gdy domy były już puste, Niemcy kazali je wyburzyć. Po dawnych mieszkańcach miał nie pozostać żaden ślad. Ten moment także skrupulatnie dokumentowali. Niektóre ze zdjęć znamy na przykład dlatego, że odbitki z negatywów przynoszonych przez Niemców, robili lublinianie pracujący w lokalnych zakładach fotograficznych.

Większość Żydów z Lublina została zagazowana w obozie zagłady w Bełżcu. Ci, którzy mieli być nadal przydatni dla Niemców, trafili do getta na Majdanie Tatarskim. To było jednak tylko odroczenie wyroku śmierci. Dziewiątego listopada 1942 roku Niemcy otoczyli Majdan Tatarski ścisłym kordonem. Rozpoczęła się likwidacja getta.

Małgorzata Szlachetka – dziennikarka, pracuje w „Kurierze Lubelskim”, wcześniej w „Gazecie Wyborczej Lublin”. Stale współpracuje z kwartalnikiem literackim „Akcent”. Publikowała również w „Nowych Książkach” i „Twórczości”.

Ewa Elżbieta Nowakowska

Deficyt

W połowie dziewiętnastego wieku podziwiano stąd ośnieżone Tatry, drewniane chaty, Kopiec Wandy, Bielany...

Teraz na widnokręgu dymiły kominy nowohuckiego kombinatu. Szli krok za krokiem, mijając ścierniska i kępy chabrów bławatków. Boczny zaułek nosił niecodzienną w tym kraju nazwę „ulica Kalwińska”.

Ich sznurowane półbuty wpadały w rozmokłą gliniastą ziemię, która głośno młaskała przy każdym podnoszeniu stopy. Bliżej ogrodzenia protestanckiego cmentarza zobaczyli zagony dyni.

– Ale halloweenowo! – zaśmiała się E. – W horrorach klasy B by tego nie wymyślili!

– Ci ludzie po drodze mówili, że przed pierwszym listopada w bruzdach zaranych pól siedzą chmury kruków i gawronów. Wydziobują resztki ziaren. Jak z filmu! – Zawtórował jej K.

Nie dosłyszała jednak ostatnich wyrazów, bo zagłuszył je warkot ruszającego traktora. Teraz dopiero zauważyli, że w pewnej odległości od nich pochyleni rolnicy zbierali ziemniaki. Prace polowe trwały w najlepsze.

– Wykopki! – zawołał K.

– No! Niesamowite! Plony tuż przy miejscu pochówków! – wypaliła E.

Zachichotali nieszczerze, bo uwaga nie należała do szczególnie subtelnych, ale momentalnie ucichli: przy bramie cmentarza pojawiły się postacie w czerni. Protestanckie togi z białymi befkami. Sutanny z koloratką. Kapłani katoliccy, kalwińscy, luterańscy. Potem członkowie chóru parafialnego w jednolitych strojach. Okoliczni mieszkańcy i przyjezdni sympatycy. Wszyscy gromadzili się na kolistym cmentarzu, depcząc opadłe z drzew żółędzie i wymieniając uśmiechy. Tylko o tej porze, raz do roku we wrześniu, odprawiano tu nabożeństwo ekumeniczne. Ale potężne dęby!, brakuje tu jeszcze druidów, pomyślała E.

– Idziemy? – spytała.

– Niewierzący też mogą?

– Przecież nikt nie będzie sprawdzał – obruszyła się.

– To idziemy.

Pośrodku piętrzył się kopiec z obeliskiem, zwany tumulusem. Znajdowała się w nim sklepiona komora grobowa z trumnami członków znamienitego rodu, który już w szesnastym wieku przyjął protestantyzm.

Kiedy odśpiewano starannie na tę okazję wybraną pieśń z kancjonału, a duchowni wspólnie zmówili modlitwę, na chwilę zapadło milczenie, zakłócone tylko jakąś maszyną rolniczą, jakby ktoś ciął drewno. Potem znowu wszystko pogrążyło się w ciszy.

Pastor odczytał cytat z Księgi Mądrości:

– Błogosławione drzewo, przez które dokonuje się sprawiedliwość...

Po tych słowach rozległ się dziwny szum. Szmer. Furkot. Narastający. Skrzydeł? Liści? Tkanin?